

Zbigniew Mika

STAROŚĆ NIE RADOŚĆ

Trudno dociec, jaką drogą doszedł ludowy twórca do smutnego wniosku, że starość to nie radość, że gdy lat przybywa, ubywa uśmiechu i wesela. Nie miał chyba na myśl utraty pewnych przywilejów młodości, które zwykle ustępują miejsca urokom wieku siwiejących włosów.

Sądzić należy, że na pomysł tej złotej myśli naprowadziły go obserwacje z innej zgola beczki, a może i osobiste przeżycia. Przeżycia własne niewesołe, o których przykłady nietrudno i dziś.

"Dobra" córka

Nie mam gdzie mieszkać i z czego żyć. Córka moja Aniela, wygnała mnie z domu. Nawet tego kawałka dachu mi już żaluje. A taka to była dobra córka...

I tu potoczyła się opowieść — przeżywana atakami żalu — ponura, pełna obrazków godnych średniowiecza czy obyczajów afrykańskiego buszu, lecz nie podpoznańskiej wsi. A wszystko zaczęło się wtedy, gdy 72-letni Antoni K. złożył nieopatrnie w 1960 roku swój podpis u notariusza. Nie wiedział wówczas, że dla jego córki był to akt przejęcia gospodarstwa, ale dla niego — surowy wyrok skazujący na udrekę, a później na wygnanie. Odtąd bowiem stał się niewygodnym „starym, wstępnym, nikomu nie potrzebnym dziadem, który zajmuje miejsce”. Nie mógł dłużej znieść poniewierki i resztki starczych sił dowiódł się do Poznania (20 km pieszo); odszukał redakcję, gdzie spodziewał się znaleźć ratunek.

Smutek dzieje Antoniego K. nie są zdarzeniem osobnoistym. Wypędzonych i sponiewieranych starców nie-

zdolnych do pracy w gospodarstwie, zapomnianych rodziców bez środków do życia, schorowanych, samotnych staruszków potrzebujących opieki bliskich — jest wiele. Jedni żyją trochę lepiej inni gorzej. Jedni są mniej inni bardziej samotni. Wszyscy zapewne powtarzają z rezygnacją: starość nie radość. Z rezygnacją, bo w podeszłym wieku o nadzieję już trudno.

Środki zaradcze

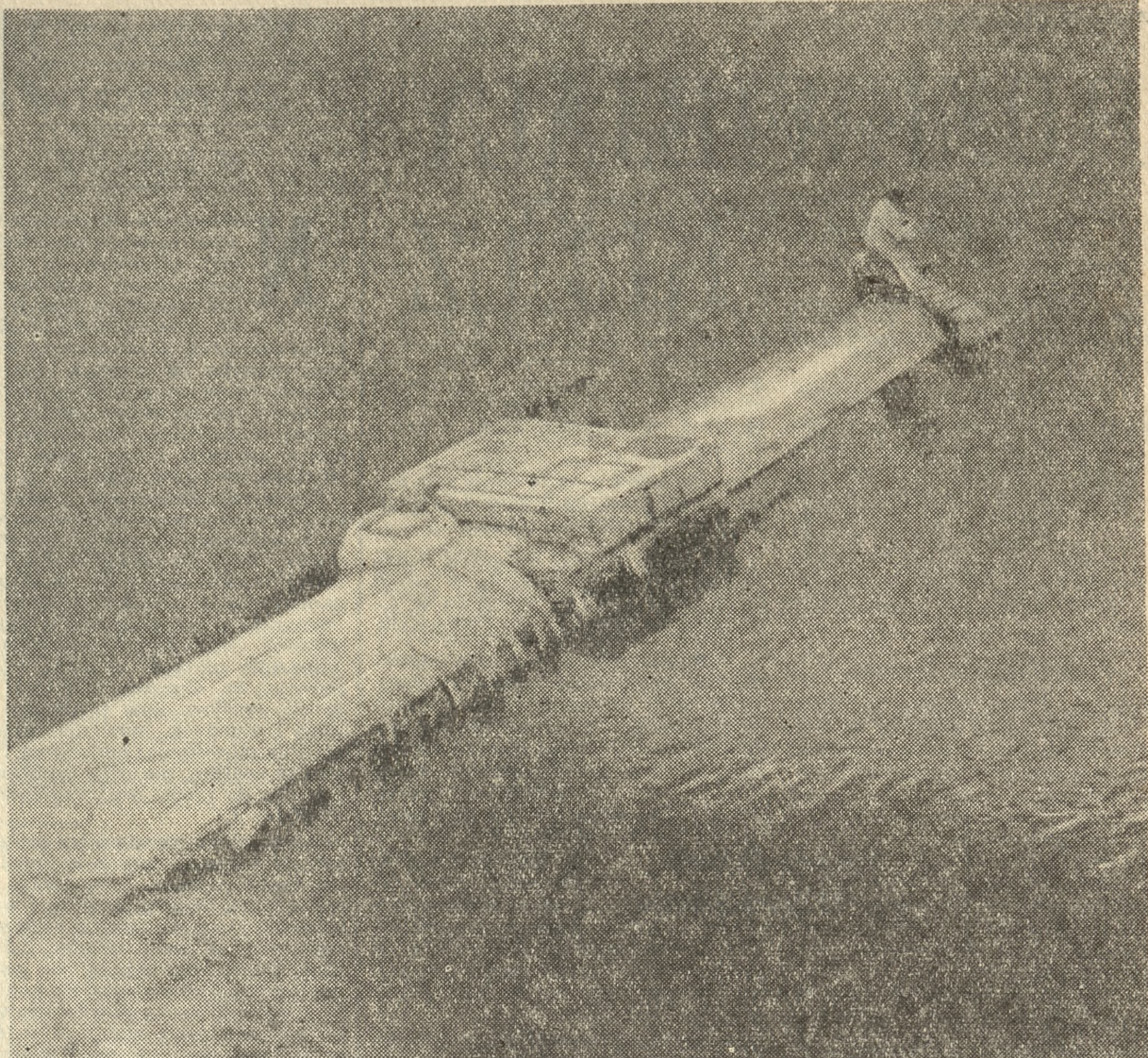
Czy tak być musi? Nie, ale, niestety, jest. I dzieje się tak choć istnieje system rent, są prawa zabezpieczające opiekę dzieci nad niezdolnymi do pracy rodzicami, są ubezpieczenia. Ano cóż, takie po prostu jest życie. Ale czy takie być powinno?

Państwo stara się łagodzić skutki tych społecznych dolegliwości, tworząc i utrzymując instytucje opieki społecznej. Kosztem wielu milionów złotych prowadzi się domy rencistów, domy opieki stałej, domy dla nieuleczalnie lub przewlekle chorych, a wszystko po to, aby nie było bezdomnych i zapomnianych. Jednakowoż wobec rzeczywistych potrzeb, są to przeważnie środki niewystarczające.

Dzielnica to jednak o tyle skomplikowana, że rozmiary opieki nad nieszczęśliwymi w dużej mierze zależą od bardziej lub mniej humanitarnej interpretacji. Np. woj. poznańskie dysponuje 10 domami opieki i rencistów (960 miejsc), a miasto Poznań ani jednym, choć miało ich kiedyś kilka. Poznaniacy korzystają z gościnny domów WRN.

Stan alarmowy

Najnudniejsza książka świata, rocznik statystyczny — jak powiada niektórzy — okazuje się cieka-



Wędkarz

Z łeki K. Przychodzkiego

wą lekturą. Można tam np. przeczytać ile w najbliższych latach będzie mieli ludzi w wieku emerytalnym. Dowiemy się, że czeka nas wyśledmograficzny. Oto jeśli w roku 1960 Poznań miał 28.400 mieszkańców w wieku 65 lat i więcej, to już w 1965 roku będzie ich 35.400, a w roku 1970 — 43.600 (w 1975 r. — 51.900 osób. *).

Podobnie ma się sprawa z województwem poznańskim. Wielkopolan mających w roku 1960 lat 65 i więcej było 140.600; w 1965 r. będzie ich już 158.400. Rok 1970 zanotuje 192 tys. osób (w 1975 aż 230.100 rencistów **).

Oznacza to, że władze terenowe powinny zwrócić szczególną uwagę na sprawy rencistów. Mniej lub więcej proporcjonalnie do liczby ludzi starszych wzrośnie bowiem rzesza potrzebujących opieki, nowych miejsc w domach rencistów, w domach dla niezdolnych i samot-

nych. Zmieni się tylko nieco struktura socjalna najstarszej grupy obywateli (w porównaniu do dzisiejszej), bo nawet wieś spółdzielcza powołała własny system emerytalny. Ubędzie także ludzi o niskim wymiarze rent.

Ale nie liczba emerytów jest powodem naszej troski. Oceniamy, że czynione przygotowania do przyjęcia nadciągającej fali wyżowej są niedostateczne. Poznań bowiem buduje jeden dom dla rencistów na 100 osób (będzie oddany do użytku w 1963 r.). Województwo poznańskie przewiduje natomiast — przy już po siadanej bazie — budowę domu rencistów w Koninie (150 osób). I to wszystko w bieżącej 5-lacie.

Zamiast podsumowania

Czy przewidziane domy rencistów sprostają potrzebom? Sądze, że nie. Jeśli bowiem wziąć pod uwagę tylko różnicę pomiędzy stanem roku 1960 a 1965 (a więc już za trzy lata) to w Poznaniu będzie o 7000 więcej ludzi w podeszłym wieku a w Wielkopolsce — o 18.000. Przyjmując, że tylko dwie osoby ze 100 zechcą szukać schronienia w domach

rencistów, potrzeba będzie 500 nowych miejsc. Przybędzie zaś 250. A przecież już obecny stan miejsc jest niewystarczający. Czy braki uzupełni system tzw. opieki otwartej? Być może, ale nie zmienia to faktu, że potrzeba „domów Matysiaków” jest i będzie bardzo aktualna.

Dynamiczne, młode społeczeństwa nie zawsze mają tyle czasu na zajmowanie się sprawami ludzi starszych ile mieć powinny. Na pewno tak jest i w naszym przypadku. Zajęci tysiącami spraw dnia codziennego zapominamy, że sami też kiedyś będziemy starzy. To niedobrze, bo atmosfera, jaką tworzymy wokół ludzi starszych, opieka jaką ich otaczamy, jest świadectwem naszej kultury, mówi o nas źle lub dobrze. Tak jak na pewno dobrze świadczy o war szawianach pomysł budowy „Domu Matysiaków”.

Ale przecież nie dla świadectwa sobie i potomności obstawiamy przy większej trosce wobec starszych. Chcemy tylko, aby jak najmniej było takich, którym pozostaje już tylko ze smutkiem wspomnieć: „starość nie radość”.

Antoni Bajerek

900 patronów z palcem skierowanym w siebie

W kacie pokoju, na elektrycznej maszynie, jeden z robotników przegrzewał kaszanke. Duszący zapach smażonego tłuszczu wypełniał pokój, pobudzał do kaszlu.

Tak mniej więcej wyglądała kolacja reportera w hotelu robotniczym pod Płockiem, kilkaset metrów od budowanego, najnowocześniejszego kombinatu petrochemicznego.

Do zbrojarzy Zakrzewskich, bo u nich to gościłem, trafiłem nie przypadkowo. Cała rodzina — ojciec, jego brat i czterech synów — to jednocześnie członkowie Brygady Pracy Socjalistycznej.

Przypomniałem sobie kolację z brygadą Zakrzewskich w tydzień później, na jednej z narad ZMS-owskich w Płocku. Mówca, który zabrał właśnie głos, opisywał warunki życia w hotelach robotniczych i grzmiał:

— Za mało, towarzysze, dba się tam o robotnika. Ręczników, na przykład, tygodniami nikt nie pierze. Niektóre pokoje są zapchłone, a nikt nie wysypuje podłóg proszkiem. Co więc robi administracja hotelowa, co robi nasza komisja sanitarna?

Zastanowiło mnie to pytanie. Choć — Bogiem a prawdą — wcale nie komisja sanitarna powinna być jego adresatem.

*

Sporo miejsca zajmuje ostatnio w prasie dyskusja pod hasłem: co z patronatami?

Autorzy licznych artykułów podają analizie patronaty Związku Młodzieży Socjalistycznej nad największymi inwestycjami 5-latki, jak Turowszów, Płock, Tarnobrzeg, Działoszyn. Autorzy ci często stawiają pytanie:

— Co daje patronat ZMS budowie? Czy to przypadkiem tylko nie formalność?

Jeśli ktoś ma co do tego wątpliwości, zapraszam go do Płocka.

*

Kierownik centralnej betoniarńi zapytany o efekty patronatu opowie prawdopodobnie o żwirze. O tym, jak w dostawach tego żwiru nastąpiła przerwa, jak budowom zagroziły z tego powodu przestoje. I jak na apel sztabu interwencyjnego ZMS-owskiego patronatu odpowiedzieli ZMS-owcy z Wagonowni Praga. Wyremontowali przedterminowo kilkadziesiąt wagonów. Można

było uruchomić specjalne pociągi ze żwirem dla Płocka. Podobnych w swym charakterze interwencji ZMS-owskich ma sztab na koncie ponad trzysta.

Pierwszy na Mazowszu Uniwersytet Robotniczy ZMS powstał w Płocku. Właśnie przy kombinacie. Dwie skromne literki „U.R.”, to przecież bardzo konkretny i bardzo ważki efekt patronatu. Tysiąc ludzi bierze po pracy książki, zeszyty i idzie na sale wykładowe, uzupełnia wykształcenie podstawowe, zdobywa lub podnosi kwalifikacje zawodowe. I jeśli się mówi, że w odczuwającym braki kadrowe kombinacie płockim każdy majster liczy się na wagę złota, to należy pamiętać, że ZMS-owski Uniwersytet wyszkolił ich dziesięćdziesięciu! A ilu zdobyło prawo do tytułu kwalifikowanego robotnika, ilu przyuczono do zawodu!

Dłuższą chwilę zajęłoby wyliczanie tego, co ZMS już zrobił w ramach patronatu nad tą budową. Po jednym zdaniu trzeba by poświęcić brygadom współzawodnictwa, hufcom junaków, spartakiadzie młodych budowniczych, wycieczkom, obozom, kursom. Jeśli umówisz się na wieczór z dziewczyną, powiedzmy w klubie „Marabut”, to też będziesz w kręgu inicjatywy ZMS-owskiej, z której ten klub się zrodził.

*

A tak a propos — to z tą inicjatywą różnie bywa.

Mówca na naradzie narzekał na pchły. Miał rację. Tylko mnie w jego wypowiedzi zabrakło kilku zdań o własnej inicjatywie. Bo —

niezależnie od inercji komisji sanitarnej — cała sprawa ograniczała się w zasadzie do torby proszku i kogoś, kto by go wysypał.

Niezmiennie gościnnie przyjmowała reportera Brygada Pracy Socjalistycznej, zbrojarze Zakrzewscy. Ale gościnność gościnnością, a prymitywizm prymitywem. Każdy z nich zarabiał po więcej niż trzy tysiące miesięcznie, a garnuszek mieli jeden dla wszystkich. Podobnie z nożami, z widelcami, które — jak by nie było — są przecież w Polsce tańsze od lodówek. W pokoju pitrasza, ale nie wietrza. A komisja sanitarna nikomu okna nie otworzy, nawet brygadzie z tytułem BPS!

Czy w tej dziedzinie nie przyszedłaby się inicjatywa ZMS? Jakaś akcja uświadamiająca? Niby nie taka to ważna z pozoru sprawa, ale w wielkich kombinatach, gdzie ma następować awans na prawdziwego człowieka, gubią się te rzeczy. I nie wystarczy o nich mówić. Trzeba po prostu działać.

*

Organizacja zetemesowska w kombinacie petrochemicznym liczy sobie 900 osób. Można by powiedzieć — 900 patronów ma budowa. Zrobili dla niej dużo, zrobią jeszcze więcej. Szczególnie wtedy, jeżeli nie tylko będą wykrywać, sygnalizować, ujawniać niedostatki. Takie czujne oko też jest, oczywiście, potrzebne. Ale potrzebna jest również inna reakcja. Większa uwaga na własną inicjatywę, tę wychowawczą.

Inaczej mówiąc — 900 patronów z palcem skierowanym w siebie.

Płock — największa inwestycja przemysłu chemicznego, jedna z największych w naszej gospodarce — trwale zapisuje się na mapie gospodarczej kraju. W płockim kombinacie petrochemicznym — jak na każdej wielkiej budowie napotyka się problemy: duże i małe, szczególne i powszednie. O kilku problemach budowniczych Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych (taka to nazwa płockiej budowy) przeczytacie w naszej reporterskiej relacji. Czy jednak są to tylko specyficzne sprawy Płocka? Spójrzmy przy sposobności okiem reportera na nasze wielkopolskie place wielkich budowli...

Z „familią brygadą” rozmawiałem już dobrą godzinę.

— A kawy byście się nie napił, redaktorze? Ma się rozumieć takiej naszej, czarnej, robociarskiej...

Nie wypadło odmówić miłym gospodarzom, bo to i pora była kolacji. Za chwilę stał przede mną kubek dymiącego płynu. Naczynie było mocno sfatygowane — z wgniecionymi bokami, poobijanymi emalią, bez ucha. Był to — jak zdążyłem zauważyć — jedyny kubek w pokoju. Kiedy więc przekłamałem swoją porcję, garnuszek z kawą zaczął krążyć od ust do ust. Ktoś zaproponował mi boczek z chlebem, wtykając w rękę bochenek i nóż. Słowo nóż w odniesieniu do tego wyszczerbionego kozika jest zresztą przesadą. Tak grubą, jak pajda chleba, którą z trudem wykroiłem tym przedpotopowym narzędziem.

Ewa Berberysz

RDZEWIEJĄCY KLUCZ

— Nie pani tych zegarków kupiła? Ani jednego?! Czy więc nie zechciałaby pani wziąć moich dwóch? Mam ich trochę więcej...

Zdębiałam. Spoglądałam na towarzyszącą kabiny. Taka szczerobliwość.

— Bo widzi pani, ci celnicy...

Wychodzimy właśnie z portu. Za nami masyw wielkiej obłej skały, wzniesły ty głęboko w morze: Gibraltar. „Gib — jak mówią piechotliwie Angli — nasz Gib”. „Klucz na Morze Śródziemne” — deklamuje angielska guwernantka, z którą dzielę kabinę.

Przemijająca sława

Rosnąca w siłę Wielka Brytania z dawna miała chrapkę na ten przemyk między Atlantykem a Morzem Śródziemnym. Oznaczał kontrolę handlową i militarną nad wszelkimi posunięciami w rejonie basenu Morza Śródziemnego i dalej, na Bliskim i Dalekim Wschodzie. „Brytyjski od 1713 r.” — podaje Encyklopedia Britannica pod hasłem „Gibraltar”.

Anglia skorzystała z pierwszej słabości Hiszpanii, aby zagarnąć ten południowy cypel Półwyspu Pirenejskiego. Hiszpania, acz słaba, nie dawała za wygraną. Kiedy w latach 1779—1783 Wielka Brytania uwikłana była w wojnę na kontynencie amerykańskim z wyzwalającymi się Stanami, Hiszpania gnębiła Gibraltar blokadą. Angli nie dali się jednak wyprzeć i skałę utrzymali. Cypr, Malta, Gibraltar, to były twierdze, które przez długi okres trzymały w szachu kraje śródziemnomorskie, Półwysep Arabski, Indie.

Sława Imperium Brytyjskiego pobrzmiwa jeszcze do dziś w angielskich podręcznikach szkolnych, w naiwnych sentymentach angielskich starych panien, ale rzeczywistość jest już inna.

Gibraltar spełnia teraz inną rolę.

Handelek i handel

W gesto zabudowanym miasteczku, przyciępionym do skały, wre jak w ulu. Tu się handluje! Drobnym handlem, przemysł — i transakcje na wielką skalę. Wszystko. Podobno celnicy u wybrzeży Anglii specjalnie troskliwie zajmują się statkami, które miały postój w Gibraltarze.

Obszar Gibraltaru, to tak zwana strefa bezpodatkowa. W Anglii pewne towary, jak zegarki, radia, alkohol, papierosy, odkurzacze i wiele innych, obłożone są podatkiem od luksusu; wysokość tego podatku niejednokrotnie równa się połowie ceny towaru. W Gibraltarze tego nie ma. Jest „free of tax” — wolny od podatku.

Ta samotna skała, wyrosła między Morzem Śródziemnym a Atlantykiem jest dziś wielkim bazarem.

— Może te pantofelki? W sam raz dla pani? — Arabski sprzedawca już kleka przede mną, by mi zmierzyć białą szpilkę — bo i Bata tu jest.

— Lady, pani pewnie woli coś innego! — Właściciel sąsiedniego sklepu trzyma na dłoni jakby pudełko zapalek. — Najnowszy model! Wczoraj dopiero dostaliśmy z Japonii. Łatwo można schować i wziąć więcej... No? — Pudełko na dłoni Araba rozbrzmiewa głosem Connie Francis.

— Pani pierwszy raz tutaj? A, to pani nie wie, że tu wszyscy kupują zegarki. Tanio. Oplaca się. Proszę? Szwajcarski, 19 kamieni, nie tłukący, można rzucić. — Pac! i Omega łąduje u moich stóp.

Obok na straganie wyroby afrykańskie z wielbłądziej skóry. Czarny Ład jest tuż — kamieniem można rzucić.

Wyrzucam się z rąk przekupniów.

Ja? ... Tutejszy

Dorożka droższa tu od taksówki, biorę więc taksówkę i — w górę! — rozejrzeć się po okolicy.

Taksiarz, rozmowny chłop, syn angielskiego żołnierza i Hiszpanki — powszechne tutaj zjawisko — pyta mnie, co kupiłam. Tutaj wszyscy o handlu.

— Pani wie, cała ta skała jest pusta — uderza nogą o ziemię i strąca w przepaść parę kamyków.

Pod nami zielony Atlantyk i szafirowe Morze Śródziemne z jednej strony, białe dachy Tangieru w Afryce, a po przeciwnej — Hiszpania.

— Wydrążona, a w środku twierdza — kontynuuje mój rozmówca. — E, jakie to ma dziś znaczenie — macha ręką — teraz nie tak się wojuje. W czasie wojny była tu bardzo silna obrona przeciwlotnicza, ale z lotniskiem gorzej. Nie ma dość miejsca.

Małpy, które tu chodzą luzem, zastępują nam drogę. Znamy mojego taksjara i laszą się do niego jak psy.

— A pan, kim się czuje, Hiszpanem czy Anglikiem?

— Ja? Bo ja wiem? Ja jestem tu tejszy.

Trochę pokpiwa z angielskiego garnizonu, ale nie chciałby, żeby było inaczej. Ten status mu odpowiada.

— A bo to źle tutaj? Zarabia się i ładnie — wskazuje na bielejące hiszpańskie plaże — i wesoło, stale jakiś statek. I uczyć się można, jak kto chce. Cztery gimnazja i technikum dokerskie. I w ogóle roboty nie brak. Z Hiszpanii codziennie przychodzą tu do pracy.

W 16 szkołach podstawowych Gibraltar dominuje hiszpański — jest językiem wykładowym. Ludność licząca w 1951 roku około 23 tysięcy, stale wzrasta. Anglicy utrzymują tu specjalnie atrakcyjny status, by nie wzniecać tendencji zjednoczeniowych z macierzystą Hiszpanią.

Czas wracać na pokład. Stoimy na mostku, a biała skała ucieka nam sprzed oczu. Chusteczka w rękę mojej Angielki furkocze na wietrze: — Żegnaj, Gib!

Wychowanie artystyczne w szkole

Nie możemy wprawdzie jeszcze mówić o polskiej nowej szkole jako o fakcie dokonanym, jednakże coraz wyraźniej rysuje się jej kształt, który w ciągu kilku najbliższych lat zostanie wcielony w życie. W ramach reformy szkolnej wiele zagadnień dydaktycznych i wychowawczych ulegnie zasadniczej zmianie. Przyjrzyjmy się dzisiaj sprawie wychowania artystycznego w nowej szkole.

Pamiętamy dobrze stan z ostatnich lat. Przedmiot prac ręcznych w szkołach ogólnokształcących, podstawowych i średnich zredukowany został do minimum, śpiew był w stadium zanikowym, a o jakimś wychowaniu estetycznym, o pobudzaniu podstawowych chociażby zainteresowań w dziedzinie plastyki w ogóle się nie mówiło. Na dłuższą metę taki stan groził wychowaniem pokolenia ślepych i głuchych, ludzi nie reagujących na muzykę ani malarstwo, rzeźbę czy grafikę, nie przystosowanych również do życia we współczesnej cywilizacji.

Nowa szkoła rozwiązuje ten problem, jak się zdaje, w sposób zadowalający. Zrezygnowano z ustawienia wymienionych przedmiotów będących wprawdzie już w następnym roku szkolnym, tzn. w roku 1963/64. „Już”? Tak, trzeba powiedzieć, że jest to dość szybko zważywszy na konieczność wielkiej pracy przygotowawczej do wprowadzenia zmian szczególnie w zakresie opracowania i wydrukowania podręczników, wyprodukowania odpowiednich pomocy naukowych oraz dokształcenia kadry nauczającej.

W szkole i poza szkołą

Wychowanie artystyczne w nowej szkole będzie prowadzone wielokierunkowo, nie ograniczy się bynajmniej do lekcji konkretnych przedmiotów artystycznych. Elementy wychowania artystycznego będą także umiejętnie wplecione w lekcje innych przedmiotów, np. języka polskiego, historii, geografii, a nawet wychowania fizycznego (tu dział pod nazwą ćwiczenia i układy muzyczno-ruchowe). Nie ulega bowiem wątpliwości, że tylko przez współdziałanie nauczycieli wszystkich przedmiotów w wychowaniu artystycznym dzieci i młodzieży da się wpoić uczniom taki zasób wiedzy, który powinien posiadać prawdziwie kulturalny człowiek.

Przewiduje się jednak nie tylko wychowanie artystyczne na lekcjach innych przedmiotów, ale również w toku zajęć pozalekcyjnych, a nawet pozaszkolnych. Tutaj można by wy-

Jan Sośnicki

Nowy szyld - nowa treść

mienić szereg form, które będą szeroko stosowane. A więc rozmaite zespoły plastyczne, muzyczne i techniczne organizowane przez szkołę oraz zajęcia w placówkach wychowania pozaszkolnego, a więc imprezy i zajęcia masowe jak koncerty, spektakle teatralne, konkursy amatorskiej twórczości, festiwale zespołów artystycznych itp. Formy takie go działania są na ogół znane, wypróbowane i w niejednej szkole już teraz z powodzeniem stosowane. Sens reformy polega jednak na tym, że formy takiego działania będą stosowane masowo, przez wszystkie szkoły.

Podstawowe jednak znaczenie będą miały lekcje przedmiotów artystycznych, w których zapowiadają się zmiany wręcz rewolucyjne. Już same nazwy tych przedmiotów przed stawiają treść i zakres zgoła odmienne od dotychczasowych. Nie będzie już prac ręcznych lecz zajęcia praktyczno-techniczne, nie będzie lekcji rysunku lecz wychowanie plastyczne, nie będzie śpiewu lecz wychowanie muzyczne.

Nie tylko zmiana szyldu

A teraz o treści i zakresie tych przedmiotów, bo ostatecznie to zadecyduje o celowości reformy, a nie zmiana szyldu. A więc zajęcia praktyczne i techniczne. Ogólnie — ich celem jest wpojenie młodzieży podstawowych elementów wykształcenia politechnicznego. W szkole podstawowej dzieci poznają narzędzia, maszyny i urządzenia, poznają podstawy posługiwania się nimi, uczą się będą kultury codziennego życia. W liceum ogólnokształcącym młodzież będzie pogłębiać umiejętności techniczne wyniesione ze szkoły podstawowej, a ponadto — co bardzo ważne — zostanie w podstawowy sposób przysposobiona do zawodu.

W przedmiocie wychowania plastycznego przewiduje się zapoznanie młodzieży z różnymi środkami plastycznymi, przez co przyswoi się jej umiejętność obrazowego wyrażania spostrzeżeń i wyobrażeń zjawisk. Najogólniej biorąc chodzi tu o rozbudzanie i rozwijanie wrażliwości estetycznej, która później w „dorosłym” życiu pozwoli już samodzielnie podnosić estetykę życia codziennego.

Na lekcjach wychowania muzycznego rozwijać się będzie i rozbudzać zamiłowanie do muzyki. Do tego celu prowadzi rozwijanie słuchu, poczucia rytmu i kształcenie głosu.

Lekcje śpiewu, audycje muzyczne, chór szkolny i zespoły instrumentalne — oto podstawowe formy tego kształcenia. Znajdzie się tu zapewne miejsce na wykorzystanie również zdobyczy współczesnej techniki jak adaptory, magnetofony, telewizory, za pomocą których młodzież może poznać dorobek światowej kultury muzycznej w najlepszym wykonaniu. Nie należy również zapominać o „żywej” muzyce, która w końcu daje najwięcej wrażeń. Szeroka działalność upowszechniania Państwowej Filharmonii w Poznaniu w dziedzinie audycji szkolnych daje tu znakomite wzory na przyszłość.

Dwa problemy główne

Tak z grubsza będzie wyglądać treść nauczania przedmiotów artystycznych w nowej szkole. Przyjmując, że wymiar godzin dla tych przedmiotów będzie wystarczający (wiadomo na pewno, że będzie zwiększony) pozostają dwa zasadnicze problemy, które zadecydują o sukcesie reformy: pomoce naukowe i kadry. Wiadomo, że Ministerstwo Oświaty opracowało już zestaw niezbędnych pomocy naukowych, narzędzi i innego sprzętu, który ma się znaleźć w każdej szkole. Rzecz w tym aby zabezpieczyć odpowiednio środki pieniężne na zakup tych pomocy no i — co najważniejsze — wyprodukować je w potrzebnej ilości.

Drugim problem — kadrowy — jest niemiernie trudny do rozwiązania. Widać to choćby na przykładzie naszego województwa. Jak dotąd na 57 liceów ogólnokształcących w woj. poznańskim zaledwie ok. 10 plastyków z wyższym wykształceniem prowadzi lekcje rysunku. Jeszcze w samym Poznaniu sytuację da się łatwiej rozwiązać poprzez zatrudnienie jednego plastyka w kilku szkołach przez co uzyska on podstawy utrzymania. Natomiast w powiatach wobec małego wymiaru godzin w jednej szkole trudno znaleźć wykwalifikowanego plastyka do prowadzenia takich zajęć. A mało który plastyk kwapi się do równoczesnego prowadzenia zajęć technicznych. Wy daje się zaś wątpliwe czy dokształcenie w tym kierunku absolwentów studiów nauczycielskich da wystarczające rezultaty. Problem więc pozostaje otwarty.

Jeszcze gorzej wygląda perspektywa wychowania muzycznego. Istnieje w naszym województwie licea, w

Dokończenie na str. 4

Miroslaw Sanigórski

Zwariowana oranżadkę poproszę

Zawsze mnie zastanawiało, jak to się dzieje, że w dniu, w którym zabroniona jest sprzedaż alkoholu, spotyka się tylu pijanych ludzi? Teraz, to znaczy po zapoznaniu się z pokłosiem kontroli NIK (w 10 województwach, 34 powiatach, 512 instytucjach) o przestrzeganiu ustawy antyalkoholowej, wiem: kto? Dlaczego? Skąd?

Ustawa miała położyć kres bezholowiu, nonsensom (jak chociażby wielka premia za dużą sprzedaż alkoholu) sytuacji sprzyjającym szerzeniu się wielkiej, bolesnej plagi.

Czy rzeczywiście położyła ten optymistyczny kres?

Niestety!

Krzywa rośnie

Główne wypaczenie to zbyt daleko posunięty liberalizm, tolerancja rad narodowych i zbyt natężone dążenie handlowców i gastronomików do maksymalnego zarabiania na sprzedaży alkoholu. Likwiduje się „bezwódkowe”, deficytowe kawiarenki, zakłada się — mimo sprzeciwu obywateli — gospody, restauracje. A dzieje się to za aprobatą, za zgodą i biogostawieniem ojców powiatów i województw.

Inspektorzy NIK stwierdzili niepokojące zjawisko nieuzasadnionego zagęszczania punktów sprzedaży i wyszynku napojów alkoholowych aż w 11 skontrolowanych powia-

tach, w bez mała 100 wypadkach. Wzrost tych punktów zanotowano w województwach: rzeszowskim, warszawskim, białostockim, łódzkim, a przede wszystkim w lubelskim. Oto powiat biłgorajski, rekordzista wśród rekordzistów: 46 nowych punktów sprzedaży wódki; powiat włodawski: 21 itp.

Te fakty nie mogły nie pozostać bez widocznego wpływu na sprzedaż i spożycie „mleka od uciekłych krów”. Udział obrotów wódkami w uśrednionych zakładach gastronomicznych wzrósł w ostatnim dwuleciu o 2%, natomiast udział wódek w obrotach artykułami spożywczymi w sieci gminnej spółdzielczości zwiększył się o bez mała 3%. Gastronometry i handlowcy mają więc powody do zadowolenia: do ich kas wpłynęły dodatkowe grube miliony złotych. Mniej powodów do zadowolenia ma państwo, które pbrw ogólnym sądom — na zwiększonej sprzedaży alkoholu robi bardzo kiepskie interesy, dokłada grube miliony do leczenia skutków naszego nadmiernego pociągu do „napojów ognistych”.

Szeroki gest

Ale problem nie wyczerpuje się na bezzasadnym i sprzecznym z ustawą antyalkoholową zagęszczeniu „wysokoprocentowej” sieci handlowej. Patronujące temu zjawisku rady narodowe przejawiają analogiczną aktywność, bezkrytycyzm i szeroki gest, gdy idzie o wydawanie jednorazowych zezwoleń na wyszynk napojów o mocy ponad 18 proc. Oto powiat — znów biłgorajski: prawie 130 takich zezwoleń w półroczu, powiat krasnostawski: prawie 200 zezwoleń w ciągu 5 miesięcy. Przykłady można mnożyć.

Inspektorzy NIK stwierdzili aż 700 wypadków naruszenia tego przepisu grudniowej ustawy, który mówi, że rady tylko po dokładnym zbadaniu zezwalają na wyszynk na zabawach, zebraniach, naradach, a już w

żadnym wypadku nie mogą sobie pozwolić na ten gest w odniesieniu do zabawy czy innych imprez w szkołach, w placówkach oświatowych, w miejscach wypoczynku, w zakładach leczniczych.

W Zagłobowie piją dół lustra

Zwróciliście chyba uwagę na jakiś zastawiający popiech rad narodowych w wydawaniu zezwoleń na uruchamianie nowych punktów sprzedaży i konsumpcji alkoholu. Precz z biurokracją! Ale tam, gdzie w grę wchodzi odwrotność postulatu — odcienie powiatów nie przejawiają już gorączki czynu. Mieszkańcy wsi Chwałkowice aż 9 miesięcy czekali na wycofanie wódki z obrotu sklepu spożywczego, mimo że w tym to sklepie odbywały się „alkoholowe nasiadówki”, z udziałem niekonięcznie konstytucyjnie dojrzałych obywateli. Mieszkańcy innej wsi, o sympatycznej nazwie Zagłobowo, przez półtora roku nie mogli się doprosić zlikwidowania baru-rozpijalni tutejszych mieszkańców. W dodatku jedyną zakąską było... lustro (Zagłoba też spijał swój miód bez żadnej „podkładeczki”...).

Oto zaledwie kilka spraw wielkiego, społecznie i gospodarczo problemu, zaledwie mizerna cząsteczka materiału udostępnionego dziennikarzowi przez NIK. Można byłoby mówić długo o sprzedawaniu przez zakłady gastronomiczne wódki na wynos („dycha” drożej na półlitrku), o tym, że te same zakłady rozpijają ludzi w dni bezalkoholowe („Panno Jasiu! Zwariowaną oranżadkę poproszę!”), o rozpijaniu niemal jeszcze dzieci („16 lat — dziecko? Panie, ja w jego wieku o mało alimentów nie musiałem płacić!”), o wielu innych bolesnych sprawach, które nie zważając z należytą randze problemu energii — rozzuchwalały, prowokowały, rodzą tragedie, godzą w interes „antytrunkowych” obywateli, w interes państwa, w spokój rodzin, w zgodę środowisk. Życie i praktyka nie mogą rozmiąć się z ustawową literą prawa.

Zofia Andrzejewska

Ilustr. Ewa Pruska

WIDOK

W jasnych, szeroko rozwar-
tych oczach widniała ra-
dost. Wysmukłe dłonie, o
pofalowanej zmarszczka-
mi skórze, obracały mały,
urzędowy papier, jakby
smakując jego treść.

— Przeczytaj jeszcze raz, Agnes.

Siwa kobieta wzięła papier z rąk sta-
rego człowieka i drżącym, cichym gło-
sem czytała:

„Obywatel Jan S. Poślanowieniem
Miejskiej Komisji Lokalowej przydzieli
się Obywatelowi wraz z małżonką mie-
szkanie — pokój z kuchnią i łazienką
— z nowego budownictwa w bloku I
przy ulicy Rudej 6, mieszkanie 19”.

Ostatnie słowa wypowiedziane prze-
wie szepem zapadły w ciszę załoczno-

Wojna skończyła się dokładnie tak,
jak przewidywał Jerzy. Miasło wyswo-
bodziło Rosjan. Zaczęły się nowe po-
rządki.

Życie starych ludzi nabierało teraz
nowych rumieńców. Jerzy i kilku jego
kolegów zaczęli się uczyć. Jan
udzielał im korepetycji z matematyki
i żył ze swą Agnes na flet marzeń mło-
dych. Ufał im, wierzył.

O mieszkanie się nie martwili. Jerzy
zapewniał, że będzie wszystkiego
w bród. Jeszcze tylko rok, dwa. W czte-
rdeśnym dziewiątym roku okulista za-
lecił zmianę mieszkania. Staremu czło-
wiekowi zagrażała ślepotą. Jerzy —
świeżo upieczony technik zaczynał wle-
dzieć pracę w jakimś hucie. Jego koledzy
rozproszyli się po świecie. Starzy ludzie
zostali sami. Czasem zaglądała do nich
małżonka Jerzego, mieszkająca u swej cór-
ki na przedmieściu, czasem wpadała ma-
ły Józek, syn młodego małżeństwa, zaj-
mującego suferę po sąsiadach. Ale
rzadko. Stare książki nie były już niko-
mu potrzebne. Było dość nowych.

Pierwszy wniosek o mieszkanie zło-
żyli w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym
roku. Urzędniczka, bardzo miła osoba,
zapewniła ich, że zostali wpisani na li-
stę najbardziej potrzebujących. Potem
bywało rozmaicie. Siwa kobieta pamię-
ta różnych urzędników. Uśmiechnię-
tych, uprzejmych i szorstkich, zbywają-
cych siwych starszków wzruszeniem
ramion i słowami ironicznymi: „są
młodzi z rodzinami”. Jan wszystkiego
nie widział. Nie mógł widzieć.

Kiedy szli przez miasto, schludni, cisi,
o białych jak śnieg włosach, czule po-
wodziący się pod rękę — ludzie od-
wracali się za nimi, z sympatią patrzył
na ujmującą parę. Nie wiedzieli prze-
cież, że niebieskie oczy Jana patrzyły w
próżnię a siwa kobieta nosiła w sobie
milczący lęk o swój — potrzebny obo-
gu wzrok, coraz bardziej zagrożony wil-
gocią i mrokiem piwnicy.

W dziesięciolecie starych o miesza-
nie odwiedził ich Jerzy. Wizyta trwała
krótko. Główny inżynier jednej z hut
był wyraźnie zażenowany. Starzy ludzie
nie skarżyli się. Przywykli już do swej
doli. Zdawało im się nawet, że urzęd-
nicy mają rację. Jest tylu młodych lu-
dzi bez mieszkań.

Jerzy zostawił staremu nauczycielowi
album z reprodukcjami Oltarza Mariac-
kiego Wita Stwosza i wyjechał. Jan czę-
sto potem brał ten album do ręki i gła-
dząc palcami jedwabne kartki książki,
mówił do Agnes:

— Wiesz, ja jakoś dziwnie wierzę,
że dostaniemy mieszkanie.

Siwa kobieta wzruszała wtedy ramio-
nami.

— No, wierz sobie, wierz — mówiła.
I teraz ten papier. Jedenaście lat po
złożeniu pierwszego wniosku.

*

Klucze otrzymali w same imieniny
Jana. Wiedzieli już dobrze, gdzie jest
ulica Ruda i ich blok. Chodzili tu od
tygodni doglądać prac końcowych.
Mieszkanie było na drugim piętrze.
Kiedy weszli cichutko do pokoju, Agnes
podprowadziła męża do otwartego okna.

— Pachnie skoszonym sianem — po-
wiedziała.

A siwa kobieta, zapalczona w rozta-
czający się przed nią krajobraz szep-
tała:

— Jaki wspaniały rozłacza się stąd
widok.

nego meblami pokoju i zginęły gdzieś
w pluszowej kanapie, na której oboje
siedzieli. Stary człowiek, o niebieskich
oczach dziecka, nieomylnym instynktem
niewidzącego poszukiwał dionizy i
zamknął w swych rękach razem z ma-
łym urzędowym papierem. Milczeli. Ty-
lko na twarzach, ledwo widocznych w
mroku piwnicznej izby, widniała ra-
dostna ulga.

— A widzisz, Agnes — powiedział
po dłuższej chwili stary człowiek.

Siwa kobieta wyjęła dłoń z rąk
męża i pogłaskała delikatnie mleczną
wiechę wiecznie niesłownych włosów.

— Tak Janku, miałeś jak zwykle ra-
cję.

Znowu milczeli.

W pokoju unosił się zaduch stęch-
ły pomieszanej z zapachem bzu. Wa-
zon stał na zabytkowej komodzie. Nad
nią wisiał portret młodego mężczyzny
w mundurze oficera. Naprzeciw, nad ol-
brzymim brązowym łóżkiem widniała
kunsztowna płaskorzeźba Madonny,
przed którą czerwono lśniła mała
lampka. Na wprost kanapy duży dębo-
wy stół przylegał do szafy, zawalonej
na wierzchu stosem książek. Wszystko
otulone półmrokiem i zapachem ni to
wiosny, ni to grobu, stanowiło od dwu-
dziesiąt lat to dla siwej kobiety coraz bar-
dziej kobiety i ślepoty jej męża.

Do piwnicy wprowadzili się podczas
okupacji. Pokój był pusty. Jego miesza-
ńcy zostali wywiezieni do Guberni.
Oni chcieli wtedy jak najbardziej zejść
z oczu. Wiedzieli zresztą, że i tak wy-
siedlono by ich z frontowego mieszka-
nia. Prędzej, czy później. Po śmierci
jedynego syna nic ich zresztą nie cie-
szyło. Z początku nie wierzyli nawet,
że wojna może się kiedyś skończyć. Do-
piero później, kiedy coraz częściej od-
wiedzał ich Jerzy — syn sąsiadów, za-
częli życie odkrywać na nowo.

Jerzy przychodził po książki. Jan —
emerytowany nauczyciel miał ich wiele.
Ale dla młodego chłopca za mało.
Wypytywał o takie, jakich Jan nie czytał
nigdy. Nawet nie
bardzo wiedział o
ich istnieniu. Jerzy
pracował w warszta-
tach kolejowych, w
wielkim skupisku lu-
dzi. Przynosił często
wiadomości lepsze
od kostki margaryny,
tak bardzo pożąda-
nej w głodne dni
okupacji. Starzy lu-
dzie przyjmowali
jedno i drugie z
wdzięcznością. Żo-
na Jana, sprzątała
biura w hitlerowskim
urzędzie, przynosiła
stamtąd jedynie but-
ne zapewnienia o
zwykłości.



Niech mi uczeni w archeolo-
gii zechcą wybaczyć tytuł.
Trudno jednak wymagać
od laika, aby trzymał na
wody fantazję, przysłu-
chując się fachowej dys-
kusji „wtajemniczonych” na temat
najbardziej prawdopodobnych oko-
liczności śmierci człowieka, którego
doczesne szczątki, przywalone zwię-
glonym drzewem przed niespełna
trzema tysiącami lat, leżą u stóp
rozmawiających.

W rocznych sprawozdaniach Mu-
zeum Archeologicznego dotyczących
prac wykopaliskowych, będzie się to
nazywać: „stanowisko w Smuszewie,
pow. Wągrowie”; w języku nauko-
wym mówić się będzie o smuszew-
skim grodzisku czyli osadzie obron-
nej, pochodzącej z wczesnej epoki
żelaznej to jest z VII wieku p.n.e.
Systematyczni, odwiedzając to miej-
sce, zanotują w pamięci jeszcze i to,
że po raz pierwszy zainteresował się
nim Karol Libelt, którego majątek
znajdował się w pobliskim Trzesze-
wie. Gdy miejscowi rybacy powia-
domili go o sterzających ponad po-
wierzchnią jeziora palach — włas-
nym sumptem wydobyl pierwsze
smuszewskie „zabytki ruchome”, a
więc naczynia gliniane, a także na-
rządza z kości i odesłał je do gabi-
netu archeologicznego Uniwersytetu
Jagiellońskiego w Krakowie, w któ-
rym to miejsce do dnia dzisiejszego
przebywają.

Po stu przeszło latach znaleźli się
kontynuatorzy libeltowskiego dzieła.
Uzbrojeni w nowoczesniejsze zdo-
bycze archeologicznej wiedzy wy-
dzierają coraz to nowe tajemnice
smuszewskim bagniskom, które dla
laików, są przede wszystkim miej-
scem przedwiecznej tragedii, cmen-
tarzyskiem pradawnej społeczności,
grobem samotnika-bohatera? tcho-
rza? zdrój?

Jaka to tragedia skryła w głębi
bagien osadę, jaka społeczność wraz
z nią zginęła, kim był człowiek, któ-
ry znalazł samotną śmierć, ucieka-
jąc czy też atakując, a którego szkie-
let ostatnio odkopano?

Osada była bardzo rozległa, zaj-
mowała wyspę, otoczoną ze wszyst-
kich stron jeziorem o bagnistych
brzegach i wąską jedynie groblą po-
łączoną z lądem. Otaczał ją ponadto
wał obronny, zbudowany z ukośnie
kładzionych pali drewnianych. Do-
my budowano przeważnie z drewna
brzoowego. Odkopane ślady podłóg
szkicuują wyraźnie ich wielkość: 9 na
10 m... Znalezione szkielety ludzkie i
dwa zwierzęce wskazują na to, iż
ktoś chciał się wymanować z otoczonej

Baedeker poetycki POZNAŃ

Złożeniem tych felietonów
było przede wszystkim od-
notowanie nazwisk młodych
poetów, ale w wypadku Poz-
nań — nie sposób pominąć
starszej generacji poetyckiej,
tym bardziej że rozwija ona nadal swo-
ją sztukę, wydaje nowe zbiory wiers-
zy, jest ozdobą literackiego Poznania,
choć najczęściej nie mieści się w ja-
kichś nazwiskach formułkach przy-
pisania do miejscowego regionu.

Nazwiska Romana Brandstaettera, Ed-
wina Herberta, Kazimierza Iłakowiczów-
ny, Wandy Karczewskiej, Bogusława
Koguta, Eugeniusza Morskiego, Jadwigi
Popowskiej mają swoją wymowę, znane
są w kraju, wymieniam je też tutaj ra-
czej dla dopełnienia obrazu, aniżeli dla
dania satysfakcji, bo te mogłyby im dać
tylko pełne omówienie ich twórczości,
a nie notatki baedekerowskiej natury.

Nie potrzebują też przypomnień czy
rekomendacji poeci średniego pokole-
nia, tacy jak Ryszard Danecki, Stanisław
Kaminski, Józef Ratajczak, Andrzej Zey-
land, którzy usamodzielili się i mają
już dziś na swoim koncie nie tylko zbiory
wierszy, ale i publikacje prozatorskie
czy dramatyczne.

Znacznie trudniej o wyraźną kuali-
fikację w wypadku najmłodszej gene-
racji, która przestąpiła próg debiutu
książkowego, bądź też się do niego
zbliza. Trudniej z tej głównej przyczy-
ny, że — po rozwiązaniu ugrupowania
„Wierzbak” — owa najmłodsza gene-
racja literacka pozostawiona została
właśnie sama sobie, pozbawiona
czynnika prowadzącego i zdana na
działanie przypadkowej gry sił konku-
rencyjnych.

„Wierzbak” przestał istnieć, grupie
„Swanewit” nie starczyło energii, a
może także i wybitniejszych indywidu-
alności, aby zająć opuszczone miejsce
po „Wierzbaku”. „Swanewit” nie zdo-
łał zresztą sprecyzować nigdy swojego
programu artystycznego.

Wanda Chila

Fantazja na tematy archeologiczne

przez napastnika osady. Zwęglone
szczątki drewna świadczą o tragicz-
nym epilogu historii osady, która
nie podziwiała się już do nowego
życia. Dopiero po kilkunastu wie-
kach wyspa dała schronienie nowym
mieszkańcom, zwabionym tu jej
obronnymi warunkami, które jed-
nak ich nie ustrzegły przed kata-
strofą. Jak po tamtych — zostały po
nich tylko... konstrukcje drewniane
i zabytki ruchome z epoki wczesno-
średniowiecznej. Może było tak. A
może całkiem inaczej. Laik, nie po-
trafiący powściągnąć wyobraźni,
snuje swe dalsze domysły. Fachow-
cy zapisują w swym naukowym do-
robku nową zdobycz: świadectwo
ciągłości osadnictwa na ziemiach
polskich. Smuszewska wyspa jest
bowiem odpowiednikiem wykopa-
lisk biskupińskich.

*

W samym centrum miasteczka,
na porośniętym z rzadka trawą
kocich łbach pustawego rynku, usta-
wiono blaszaną wanienkę, pełną wo-
dy i zanurzonych w niej dziwacz-
nych, szczerbiatych przedmiotów.
Przedmioty nie są łatwe do zidenty-
fikowania — nie dziwnego, że bu-
dzą ogromną ciekawość najmłod-
szych latorośli miasteczka. Wokół
wanienki, wystawionej przed chwilą
z szopy, wyrósł natychmiast ciasny
wianuszek kolorowych sukienek,
przybrudzonych krótkich spodni i
gołych nóg. Głównie nie widać: wszyst-
kie schylają się właśnie nad pła-
skim patykami, o którymś pani mó-
wi, że był dziecięcą zabawką, mie-
czykiem, znalazłszy go w wykopie.

Wykop liczy kilkanaście metrów
głębokości i sąsiaduje o krok z głów-
ną ulicą podchodzącego miasteczka
Ujścia. Przed kilku lat, podczas
kopania fundamentów pod blok
mieszkalny, znaleziono w Ujściu
pierwszą zabytki. Zainteresowane
tym Muzeum Archeologiczne w u-

biegłym roku rozpoczęło tu swe ba-
dania; na ich podstawie stwierdzo-
no, iż w miejscu dzisiejszego rynku
w VII wieku znajdowała się osada
otwarta, zaś w X i XI wieku — gro-
dzisko, otoczone wałami. Założono
je na obronnym terenie w widłach
Noteci i Gwdy, korzystając z dobro-
dziejstw obfitujących w łowną zwie-
rzynę okolicznych puszczy. O dawnej,
acz minionej świetności Ujścia świad-
czyć mogą zapiski Galla Anonima,
wspominającego, iż w mieście tym
w roku 1124 zatrzymał się, by wy-
począć po trudach podróży, wędru-
jący do Polski niemiecki biskup.

Dziś szesnaście poziomów różnych
konstrukcji drewnianych, „odgrzeby-
wanych” starannie w wykopie, opo-
wiada o różnych epokach historii
osady i grodziska, a opowieść uzu-
pełniają zabytki ruchome, które
swoją pierwszą rolę toalety odbywają
właśnie w owej, budzącej powszech-
ną ciekawość, wannie. Wykopano
ich ponad 250, a są wśród nich ra-
dlice od plugów, płoty kościane od
sań, pozłacana szalka wagi, ozdobnie
rzeźbione kościane grzebienie, kraj-
ki tkane na krosnach, noże, klucz
o pięknym pierze, spust do kuszy, z
którego rozpoznaniem najwięcej by-
ło kłopotu (oczywiście nie wśród
speców!), kijanki do prania bielizny,
korale z bursztynu, podeszwy od bu-
cików (nosy wąskie — zupełnie jak
u najnowszych modeli anno 1962!),
części talerzy, dzbanów, beczek...

Wspomniany spust od kuszy, który
nie budzi wątpliwości fachow-
ców i kiel dzika z wywierconą dziur-
ką uznany w Smuszewie za amulet
— na długo pozostają głównymi bo-
haterami wydarzeń, zrodzonych w
wykopie.

Czy na pewno ktoś, kto odkopie
za lat tysiąc czy dwa, elektryczną
suszarkę do włosów, będzie pewien,
że przyczyną ten pomagał w wie-
ku XX przy toalecie pięknych pań?

poetę, którego nie odróżni się od jego
polskich rówieśników.

Odrębny zakres wyobraźni ukazują
tomiki Ewy Najwer i Adama Kochanow-
skiego. Koncepcja świata Ewy Najwer
przypomina nieco współczesne sielanko
pisarstwa poetyckiego, przedmiotem jej
zainteresowań jest natura, przyroda,
ujmowane z niezwykłą wrażliwością.

Nie znajdzie zresztą dziś takiego
tomiku poetyckiego, w którym nie po-
jawiałyby się motywy uwrażliwienia wzro-
kowego względnie motywy pozbawie-
nia zmysłu wzroku, ale bodaj tylko
Ewa Najwer wyciągnęła wszystkie kon-
sekwencje ślad płynące i uczyniła
z tego świadomego ograniczenia
główny tor poszukiwań. Ona też poszła
najdalej w kierunku poezji aforystycz-
nej. Jej wiersze „Krzak”, „Ważka”
składają się tylko z trzech linijek. Ową
„Ważkę” przytoczę:

Schnie ważka
— powietrze związane na Kokardkę
nasyca się szafirem

Adam Kochanowski ułożył swój to-
mik „Zimorodki” z wierszy zafascyno-
wanych światem natury i ornitologii,
oczywiście nie traktowanymi dośownie
— dało mu to także pewne aforyt-
skenożenie, ale nie zawsze udało mu
się uniknąć wielosłownia łatwej poetycz-
ności, która koncentruje się cała na
tym, jak, a nie na tym, co — o c z y m.

Z tytułu formy sąsiadem wymienio-
nej trójki młodych poetów jest jeszcze
satyryk Włodzimierz Ścisłowski, autor
tomiku „Mysi karnawał”. Znajdziemy
tu wiersze rytmiczne, rymowane, frasz-
ki, limeriki, formy parodystyczne, a
więc formy klasycyzujące, naśladowcze,
którymi autor posługuje się jednak swo-
dobnie, bez trudu wypowiadając każdy
temat w każdej najbardziej nawet rygo-
rystycznej formie wiersza. Najciekawsze
efekty dało to przede wszystkim w
utworach satyrycznych i fraszkach o te-
matyce antyrewizjonistycznej, politycz-
nej i społeczno-obyczajowej.

Jak widać z tych kilku przykładów,
nie jest więc i Poznań pozbawiony cał-
kowicie swojej wstępującej generacji
poetyckiej, tyle że w zesławieniu z in-
nymi ośrodkami Polski północno-za-
chodniej nie ma tu u nas bynajmniej
tłoku, co chyba zupełnie wyraźnie uwi-
doczniło się w tym baedekerowym
przeglądzie.

Feliks Fornalczyk

OD ZMYWAKA DO PRENUMERATY

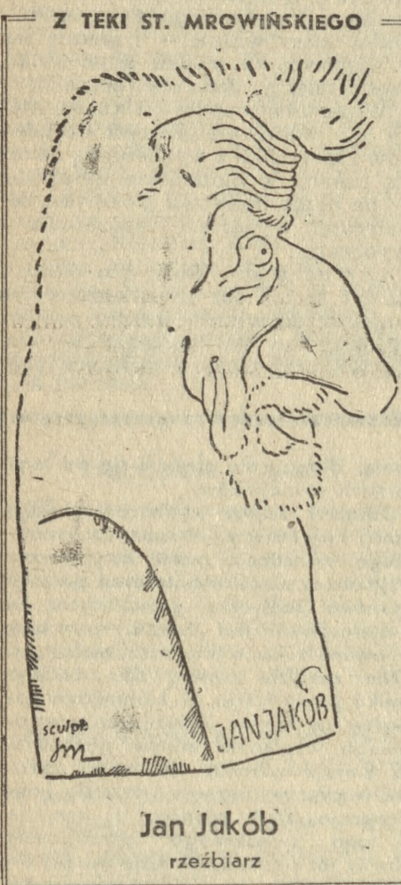
Takie sobie rozważania

— słowem może żyć pełniej i produktywniej.

Brudne naczynia można zmywać dwoma sposobami. Sposób pierwszy: Wyciąga się z kredensu coraz to nowe sztuki i po użyciu składa się na stos. Kiedy rodzinny asortyment się wyczerpie, a sosy dobrze pozasychają, bierze się miednicę gorącej wody i przy pomocy starej, zakisniętej szmatki myje się wszystko po kolei. Należy zacząć od spodków i szklanek, a resztę zmywać w coraz to gęstszej i tłustszej zupie. W końcu wszystkie skorupy wstawia się do kredensu — wilgotne, tłustawe i pachnące pomyjami.

Drugi sposób polega na tym, że mąż wyciąga swoje zaskórniaki i kupuje szczoteczkę-zmywak, stojak do suszenia talerzy i gumowe rękawiczki. Potem przeprowadza z żoną małe szkolenie dla podwyższenia jej kwalifikacji zawodowych, dzięki czemu najdroższa połowica może zmywać naczynia małymi porcjami, zaraz po użyciu, pod bieżącą gorącą wodą.

Takie oto korzyści daje postęp techniczny w życiu podstawowej komórki, jaką jest nasza socjalistyczna rodzina. Żona ma więcej czasu na godziwe rozrywki, jak np. pranie, prasowanie męzkowskich koszul i przyszywanie guzików, na dłuższe a przez to oszczędniejsze zakupy, na naprawy przyodziewku młodszego pokolenia i wychowanie takowego



A drugi widziałem w innym przedsięwzięciu. Uroczą osobą dotykała różowym paluszkiem różnych klawiszy niewielkiej maszyny, a kiedy nacisnęła ostatni, to wychodziło z niej, tj. nie z niej tylko z tej maszyny, kilka egzemplarzy drukowanego i podsumowanego rachunku.

I palców nie trzeba bandażować, i klient szybko załatwiony, i jeszcze trochę czasu zostanie na niezbędne potechki.

Istnieją też dwa sposoby sporządzania pism urzędowych. Jeden polega na tym, że najpierw referent pisze ręcznie tekst na brudno, a potem maszynistka jednym palcem wystukuje na maszynie te bazygroły, oczywiście z błędami. A interesant nie raz tygodniami czeka na papierkę, chociaż decyzja w jego sprawie dawno już zapadła.

Jest i drugi sposób. Zorganizowanie kursu maszynopisania metodą ślepa nie jest tak bardzo drogie, a jak fachowcy obliczyli, metoda ta zwiększa wydajność maszynistki o przeszło trzydzieści procent. To znaczy, że jeżeli dziennie wystukiwała z trudem trzydzieści pismek, to pisząc metodą ślepa, może spiewająco odbębnić czterdzieści. A to znaczy co dzień o dziesięć osób więcej, uszczęśliwionych urzędową tzw. piślulką.

Nie wywalalbym otwartych drzwi dla technicznego postępu, gdyby nie to, że niektóre drzwi

bywają tak wąsko wywalone, że nieraz trudno się przez nie prześcisnąć zdrowemu rozsądkowi.

Duży wpływ ma przywiązanie do starych, opanowanych metod, ale także i to, że wobec perspektywy większego wydatku, powstają wątpliwości: a czy nas na to stać, a skąd na to wziąć, czy raczej dostać, a czy to się opłaci? Jeżeli kupimy maszynę do wystawiania rachunków, to trzeba będzie kogoś zwolnić, bo inaczej się nam kontystki „rozbandziurzą”. Ułatwimy żonie zmywanie garów, to może za często będzie chodziła do fryzjera i manicurzystki, albo co gorsza, jeszcze zaczniesz czytać „Politykę” i Bóg wie, co z tego może wyniknąć. I tak dalej, i tak dalej.

Czasem też moda na postęp techniczny prowokuje ludzi do dziwacznych poczyną. Np. w trosce o wydajność pracy kontystek, maluje się ściany na wesoło, wieszka firaneczki i stawia kwiatki, ale zapomina się choćby o prawidłowym oświetleniu, wentylacji, wygodnym umyblowaniu, nie mówiąc już o maszynach rachunkowych.

A bywa też jeszcze inaczej. Oto w związku z szeroką mechanizacją pracy kolporterskiej „Ruchu” na granicznych maszynach, wkrótce będzie można zamawiać tylko roczną prenumeratę tych czasopism, które dotychczas można było abonować kwartalnie, i kwartalną tych, które dotąd wypisywaliśmy z miesiąca na miesiąc.

To już nie postęp, ale jakiś „wielki skok” techniczny, którym radykalnie odsadziliśmy się od tych zacofanych krajów, gdzie prenumeratę każdego pisma można zamówić w każdym terminie i na dowolną liczbę miesięcy, tygodni czy dni.

Oczywiście, zawsze się znajdą mal-kontenci, którzy nie doceniają i kręcą głowami na taki postęp. Ale co robić, natura ludzka bywa czasem ułomna.

Beta

Nowy szyld — nowa treść

Dokończenie ze str. 2

których dyrektorzy z bólem serca muszą się godzić z tym, że w ogóle nie prowadzi się w nich lekcji śpiewu. Nie ma po prostu kto prowadzić. W innych prowadzi się, lecz z marnymi rezultatami z powodu niedostatecznych kwalifikacji wykładowców. Niestety w zasadzie w ogóle nie kształci się nauczycieli tego przedmiotu. Jak więc ma wyglądać ten przedmiot w nowej szkole?

Najkorzystniej wygląda perspektywa zajęć praktycznych i technicznych. Studium Nauczycielskie w Kaliszu przygotowuje wykładowców tej specjalności; można więc mieć na-

dzieję, że zasilą szkoły przede wszystkim naszego województwa. Ponadto Okręgowy Ośrodek Metodyczny systematycznie dokształca nauczycieli na kursach. Tu więc możemy chyba być spokojni o przyszłe przygotowanie politeczniczne młodzieży.

Jak widać, przy bardzo pojętych perspektywach przyszłego wychowania artystycznego naszej młodzieży, rysują się już dziś niemałe trudności. Na szczęście jest jeszcze trochę czasu na ich przełamanie. Ale nie za wiele. Nie wolno więc zwlekać ani chwili. Kunkatorstwo może przynieść opłakane rezultaty.

JAN SOSNICKI

Eugeniusz Paukszta

Przyjemne z pożytecznym

Dosyć osobliwie wyglądają tegoroczne „ogórki” wydawnicze. Raz, że wcale nie jest tak ogórkowo, dwa, że zdecydowany uszakże prymat nad beletrystyką dźwierz prace o charakterze naukowym czy popularno-naukowym, dostępne dla szerszego grona odbiorców. Ostatni, wcale obfity „rzut” wydawniczy nie odbiega zawartością od poprzednich. Dziś zatem również prymat dam pozycjom nie specjalistycznym, ale albo poruszającym zagadnienia, znajdujące szerszy rezonans, albo opracowane w formie popularyzatorskiej.

„Wiedza Powszechna” sprawiła wielką satysfakcję publikacją arcydzieła książki Aliny Witkowskiej „Równieśnicy Mickiewicza”, stanowiącej swoisty życiorys jednego pokolenia, generacji zwanej mickiewiczowską, żyjącej już w niewoli, ale jeszcze pamiętającej choćby pośrednio inny okres. Stąd natężenie sporu z pokoleniem ojców, znajdujące najgłębszy wyraz w kręgu filomackim. Autorka, ukazując ciekawą zjawiską okresu, nurtującą młodzież filomacką problematykę ideową konfrontuje z tendencjami ówczesnego ruchu umysłowego Europy, co daje jej sposobność do wysnuć bardzo interesujących wniosków. Książka żywo i przystępnie pisana.

Stusnie uczynił „Czytelnik”, publikując szkice o literaturze rosyjskiej Seweryna Pollaka pt. „Wyprawy za trzy morza”. Pollak, należący do najsłabszych znawców literatury rosyjskiej, w nowym swym tomie zajęł się najbardziej twórczym okresem literatury radzieckiej, znaczącym nazwiskami miary Bloka, Jesienina, Majakowskiego i Borysa Pasternaka w poezji, z prozatorów zaś Bablem, Pilniakiem, Grinem, Katajewem i Leonowem. Bez tego przełomowego okresu lat dwudziestych niesposób byłoby zrozumieć istoty przełomu w literaturze rosyjskiej, dokonany przez rewolucję. W subtelnych, unikliwych analizach Pollak ukazuje to wyraziście, z przejęciem i pasją krytyczną. Tom uzupełnia studia o polskich przekładach z Puszkina i rosyjskich z Mickiewicza i Słowackiego.

Skoro jesteśmy przy sprawach literatury, trzeba wspomnieć o ukazaniu się drugiego, uzupełnionego wydania głośnej pracy Artura Sandauera „Poeci trzech pokoleń”, jednej z najciekawszych i najbardziej oryginalnych prac

powojennych o polskiej poezji ostatniego czasu. Warto również zaanonsować wydanie przez „Naszą Księgarnię” zaadaptowanej staraniem Marii Wisłockiej opowieści biograficznej A. Roskina: „Czechow”. Jest to książka przeznaczona dla młodzieży, ale przynosi szereg istotnych wiadomości o autorze „Wiśniowego sadu”.

A teraz kilka cennych pozycji MON-u z historii najnowszej. Adam Kurowski opublikował pracę „Lotnictwo polskie w 1939 roku”. Lektura tej fachowej, ale pasjonującej książki ukazuje jeszcze raz, jak właściwie niewiele wiemy naprawdę o wrześniu, jak naiwnie nieraz wymierzamy proporcje złego i dobrego. Karta dziejów lotnictwa w niejednym zaskakuje, zadziwia i burza, co najważniejsze jednak, ukazuje pełną prawdę. Inny, optymistyczny charakter ma „Podziemny front” Tadeusza Pietrzaka, do-

brze napisana relacja o dziełach szturmowego batalionu GL im. „Czwartaków”, od akcji warszawskich przez Powstanie Warszawskie po walki na Lubelszczyźnie i zadania specjalne na tyłach frontu. Książkę uzupełniają sumienne noty biograficzne. Praca Pietrzaka wypełnia dużą lukę w wiedzy naszej o jednym z najsłynniejszych batalionów armii podziemnej.

Pojawiły się na półkach i inne pozycje z zakresu historii, raczej już odleglejszej. Na pierwszy plan należy wysunąć tutaj tom zbiorowy wydany przez PWN „Wieki średnie”, zestaw prac ofiarowanych przez autorów Tadeuszowi Manteufflowi w 60 rocznicę urodzin. Wśród autorów widzimy wszystkich właściwie najwybitniejszych mediewistów polskich, materiał tematyczny zaś jest zaskakująco po prostu bogaty. Wszystkim zapaleńcom naszej historii tom ten serdecznie polecam.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza opublikowała III wydanie powieści niezwykle pracowitego Stanisława Strumpha — Wojtkiewicza. Jest to powieść z lat 1848—1863 pt. „Sierakowski”, jak zawsze u tego autora, oparta o bogatą dokumentację, interesująca treściowo, udratynowana uszakże bez przesadnego uciekania się do fikcji literackiej.

I nowa niespodzianka „Sportu i Turystyki”: przepiękny album fotograficzny Edwarda Hartwiga „Moja ziemia”, z tekstem Julii Hartwig. Coś naprawdę urzekającego!



Nowy krok w Kosmos

Wielki sukces ludzkości odbił się szerokim echem w całej polskiej prasie tygodniowej. Tygodnik Demokratyczny pisze:

„W wielkim współzawodnictwie na drodze ku gwiazdom między uczonymi radzieckimi i amerykańskimi ci pierwsi jeszcze raz zadokumentowali światu przodującą pozycję swego kraju”.

Pismo społeczno-kulturalne katolików Kie-runki:

„Najwyższy autorytet moralny świata katolickiego Ojciec Święty Jan XXIII dał tym nadziejom wyraz w osobnym oświadczeniu, połączając rolę epokowych lotów kosmicznych w stwarzaniu wspólnych celów dla całej ludzkości i jej atrakcyjność dla młodego pokolenia”.

Polityka:

„Nowy sukces radzieckiej nauki zmusza do przypomnienia (i przemyslenia) charakteru ustroju, który przyniósł sukcesy, zadziwiające dosłownie cały świat. A więc socjalizm. A więc idea, która przyniosła nie tylko rewolucję w ekonomice, w stylu życia i bycia ludzi, ale stworzyła niespotykane w żadnym innym systemie ekonomiczno-społecznym warunki umożliwiającej ujawnienie się niezliczonych talentów, w które obfituje naród”.

Służba zdrowia:

„Kilkudniowy lot ppłk. Popowicza i mjr. Nikołajewa był nieuniknioną konsekwencją uprzednio przeprowadzonych badań. Jednym z głównych za-

łożeń tego lotu było sprawdzenie urządzeń, wytworzących warunki, które umożliwiają człowiekowi długotrwałe przebywanie w kabinie statku kosmicznego”.

Wspaniały zespołowy lot dwóch kosmonautów radzieckich jest nowym etapem w wielkim dziele pokojowego rozwoju Kosmosu.

Astralne kontakty

Wierzyć się nie chce, że w drugiej połowie XX wieku i to nie na wsi zabitej deskami, lecz w samym Krakowie, mogło się coś takiego zdarzyć. Ofiarą „sił astralnych” padła rodzina S. Motorem owych „sił” był 40-letni Zbigniew Z., który podsuwał wspomnianej rodzinie „polecenia” w rodzaju: dostarczenia pieniędzy, pochodzących z oszczędności a potem z kas publicznych. „Duch” nie zawahał się wskazać rodzinie S., aby 14-letnia dziewczyna Teresa „dopełniła aktu” z Z. Ale nie dość na tym:

„Z. zaczął się dobierać do 12-letniej córki, Magdaleny. Skołowani ludzie, rodzina S. dowiedzieli się poprzez kolejny aport, że chwila wyzwolenia (z ciężkiej sytuacji materialnej — dop. L.) jest bliska. Przynęta troski niech tylko Z. złączy się z Magdalena. Stało się. Wiesław (członek rodziny S.) student Akademii Górniczo-Hutniczej, pomagał w dziele. Nie pierwszy raz. Kiedy w środku nocy słyszał huk pękającego dzbanka, wiedział, że w dzbanku będzie list (przysłany, oczywiście, z zaświatów przez „astralne moce” — dop. Lektora). Nie mylił się. List nakazywał jego siostrze iść do śpiącego obok Z., więc brat budził Teresę i posyłał do łóżka Z.”

Final dla Z. jest smutny: siedzi w więzieniu. Wykorzystując niesamowitą naiwność rodziny S. (matka — nauczycielka — dop. Lektora) wymuszał pieniądze, wymuszał też rzeczy, na które nie ma ceny. Prerażające! Trudno uwierzyć, że tego rodzaju ciemnota mogła panować w rodzinie zasługującej przecież na miano inteligentnej. Spętani urojonymi mocami, za którymi krył się

sprytny oszust, odmawiali sobie wszystkiego, a nawet popełniali nadużycia, żeby tylko nie narazić się „duchom”. Wszystko to brzmi jak niesamowita opowieść, a jednak jest prawdziwe. I straszne.

Prawo pracy

Tygodnik Demokratyczny publikuje artykuł Zdzisława Sachnowskiego pt. Prawo pracy jest też prawem. Sachnowski trafnie zauważa, że normy prawa pracy są nie tylko mało znane, ale również nieprzeprzeganie:

„Badania przeprowadzone w 242 przedsiębiorstwach zakładach przemysłowych i handlowych przyniosły zaskakujące wyniki. Okazało się, że w okresie 6 miesięcy około 90 procent decyzji w sprawie zwolnień z pracy dotkniętych było różnymi wadami prawnymi. Na przykład 30 procent zwolnień dokonano bez uzyskania opinii lub zgody rady zakładowej, co jest równoznaczne z wyraźnym naruszeniem przepisów prawa pracy (...) W 213 skontrolowanych przez organa prokuratury zakładach stwierdzono notoryczne naruszanie zasad określających dopuszczalność pracy w godzinach nadliczbowych oraz jaskrawe fakty przekraczania maksymalnych norm tych godzin”.

Co jest przyczyną?

„Najczęściej spotykaną i najprostszą zarazem jest ...niedostateczna znajomość przepisów prawa pracy w naszym społeczeństwie. Słabo orientują się w tych przepisach zarówno najbardziej nimi zainteresowani — tj. pracownicy przedsiębiorstw i instytucji, jak i ludzie, którzy znać je powinni doskonale niejako z urzędu (...) Szczególnie nieprzyjemnego posmaku nabiera sprawa w wypadkach, gdy — według ogólnej opinii, znajdującej najczęściej potwierdzenie w faktach — wypowiadanie nastąpiło w związku z ujawnieniem przez pracownika machinacji lub nadużyciu, popełnionych przez jedną lub kilka osób spośród kierownictwa zakładu”.

Prawo pracy jest rzeczywiście niedostatecznie

znane szerokiemu ogółowi. Jedną z przyczyn, to rozrzucenie norm prawnych w dziesiątkach wszelkiego rodzaju aktów. Stąd najpilniejszą sprawą jest skodyfikowanie przepisów prawa pracy, nad czym — o ile się nie mylę — pracują prawnicy.

Nasza motoryzacja

W Polityce znajdujemy drugi z kolei artykuł Krzysztofa Wolickiego (współpraca Jerzego Szejnocha) na temat motoryzacji i jej perspektyw w Polsce, pt. Cywilizacja i ekonomika. Tym razem autor poświęca najwięcej miejsca przemysłowi motoryzacyjnemu. Piszemy m. in. o legendarnej karoserii „Ghia” dla „Warszawy”:

„Koszt oprzyrządowania wyniósł mial 4 mln dolarów, wystarczyłoby ono dla 400 tys. sztuk wozów. Kiedy projekt powstawał — był szczytem mody. Po roku — był standardowy. Dziś — jest przestarzały. Ale od wtedy do dziś wyprodukowaliśmy najwyżej — 20 tysięcy takich wozów. Koszt oprzyrządowania — 4 mln dolarów — podzieliłby się nie przez 400 ale przez 20 tys. Na jedną sztukę koszt własny wzrósłby nie o 10 dolarów, ale o 200 dolarów”.

Nie opłacałoby się więc tego rodzaju unowocześnienie, tym bardziej, że o wartości wozu decyduje przede wszystkim nie wygląd samochodu lecz walory techniczne: zrywność, moc silnika, stosunek sprzężenia, sprawność hamulców, amortyzacja itp. Autor dochodzi do takiej konkluzji:

„...umasowanie motoryzacji samochodowej w Polsce nie może być, w najbliższych latach, perspektywą realną”. Nie możemy przecież pozwolić sobie na horrendalnie kosztowne nakłady w przemyśle motoryzacyjnym, bo to musiałoby pociągnąć za sobą oszczędności w innych dziedzinach, na przykład w budownictwie mieszkaniowym. Przynajmniej w najbliższych latach. A w tym chyba przeciętny obywatel absolutnie nie jest zainteresowany.

LEKTOR